

WITOLD SUŁKOWSKI

SZKOŁA ZDOBYWCÓW

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1976

SZKOŁA ZDOBYWCÓW

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 264

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

WITOLD SUŁKOWSKI

SZKOŁA ZDOBYWCÓW

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1976

NOTA BIOGRAFICZNA

Witold Sułkowski urodził się 10 września 1943 roku w Warszawie. Z wykształcenia filolog (studiował w latach 1963-68 i 1972-73). W lipcu 1970 roku aresztowany w związku ze sprawą tzw. grupy „Ruch”; zwolniony w lutym 1971 roku.

Debiutował w 1970 roku na łamach miesięcznika Więź. Publikował prozę poetycką, artykuły krytyczne, recenzje w Literaturze, Więzi, Poezji i Nowym Wyrazie. Był członkiem zespołu studenckiego teatru „Studio Prób Uniwersytetu Łódzkiego”, założonego w 1971 roku (kierownik artystyczny i reżyser — Paweł Nowicki). Teatr ten wystawiał ambitne spektakle oparte m.in. na wierszach poetów „nowej fali” (Mroźowski, Markiewicz, Bierozin). Zespół został rozwiązany w 1974 roku decyzją władz Socjalistycznego Związku Studentów Polskich po spektaklu „Karnawał”, adaptacji „Biesów”, której autorem był Sułkowski.

Obecnie Sułkowski pracuje jako urzędnik w Łódzkim Domu Kultury.

Zbiór „Szkoła zdobywców” jest debiutem książkowym autora. Próby wydania go w kraju (w „Wydawnictwie Literackim”, w „Iskrach” i w „Czytelniku”) skończyły się niepowodzeniem.

„Rysem zmiennym nowoczesnej europejskiej kultury jest to, że opiera się ona na tak pojętej indywidualności, że przejmując ona cały bezmiar tkwiący w samym pojęciu ja, że usiłuje to ja zrealizować”.

Stanisław Brzozowski

Banałem jest już twierdzenie, że mamy obecnie do czynienia z degradacją roli i funkcji poezji. Mówi się często, iż nastąpiło zerwanie naturalnej więzi między nadawcą i adresatem poetyckiego komunikatu. Odbiorcy winę za ten stan rzeczy przypisują twórcom, którzy zelitaryzowali poezję preparując specjalistyczny i niezrozumiały język poetycki. Poeci natomiast zwykli mówić o intelektualnej i kulturalnej niedojrzałości czytelników, o niechęci odbiorców do intelektualnego wysiłku nakierowanego na rozszyfrowanie zakodowanych w języku poezji znaczeń i treści.

W poezji polskiej taka sytuacja na linii poeta-czytelnik utrzymała się gdzieś do końca lat sześćdziesiątych. Lata te cechowały się co prawda obfitą produkcją poetycką, mieszczącą się znakomicie w kanonie wypracowanym przez poetów zgrupowanych wokół warszawskiej Orientacji Hybrydy, ale zalewowi wierszy („wyżowi demolirycznemu”) towarzyszyła całkowita obojętność społeczna; potęgował się proces izolacji poezji, która nie chciała, albo nie umiała podjąć dialogu ze społeczeństwem i rzeczywistością.

Zrozumiałą jest rzeczą, że nowe pokolenie poetów, które startowało pod koniec lat sześćdziesiątych, stanęło przed koniecznością powrotu do pytań podstawowych (i zdawałoby się trywialnych), pytań o sens i racje bytu poezji, o relacje między poetą a czytelnikiem, poezją a rzeczywistością. Odrzucając różewiczowskie stwierdzenie o „śmierci poezji”, które sugerowałoby, że kryzys związany jest z czynnikami immanentnie konstytuującą

cymi twórczość poetycką, podjęto próbę przywrócenia poezji jej rangi w kulturze i społeczeństwie.

Dokładna analiza sytuacji „poezja-odbiorcy” doprowadziła do dwóch istotnych dla nowego ruchu odkryć. Pierwsze związane było z obszarem, który poddawano dotychczas poetyckiej penetracji. Brak zainteresowania poezją związane z tym, że nie próbowała ona zmierzyć się z rzeczywistością, nie nazywała świata, nie potrafiła określić się wobec własnej teraźniejszości. Skrajny egotyzm i estetyzm poezji lat sześćdziesiątych spowodował, że człowiek widziany był w niej z jednej tylko perspektywy, od wewnątrz; poezja „Hybryd” wyprodukowała człowieka jednowymiarowego, ukazywanego w sytuacjach egzystencjalnie uniwersalnych i powszechnych, bezosobowych i ponadindywidualnych. Świat wewnętrzny człowieka rozumiano jako swoisty system zamknięty. Jednostka zdawała się trwać ponad czasem i przestrzenią, ponad historią i społeczeństwem. Objawił się w tej poezji ostatecznie „wieczny abstrakt”, nieuchwytny dla słowa i w konsekwencji umieszczony w stereotypie najpowszechniejszych doznań. „Wnętrze świata” (taki był tytuł antologii podsumowującej działalność tej grupy) przesłoniło świat. Poza obrębem uprawianej ówczesnie poezji pozostała cała sfera treści społecznie i politycznie ważnych, sfera determinująca przecież ludzkie zachowania, warunkująca istotne moralnie i politycznie wybory. Dlatego właśnie przedmiotem zainteresowania poezji powinien stać się człowiek pełny: konkretny, zindywidualizowany, ale zarazem społeczny, *homo socius*. Przewyciężenie wszelkich dualizmów, czy jak to formułują Zagajewski i Kornhauser w „Świecie nie przedstawionym” — „zalecenie rozdarcia między językiem a rzeczywistością, między ciałem a umysłem” staje się głównym zadaniem poezji, która pragnie ukazać człowieka pełnego, we wszystkich jego komplikacjach i sprzecznościach, ale niepoddawalnego żadnym zabiegom segmentacyjnym. Bowiem to, co zewnętrzne i to, co wewnętrzne istnieje w swoistym sprzężeniu zwrotnym, a fakt, że człowiek jest zde-terminowany swoim *hic et nunc*, że jest społeczny (a więc żyje wśród ludzi i dla ludzi) i historyczny (a więc uczestniczy w dziejach i je tworzy) nie oznacza, że tym samym zostaje pozbawiony „życia wewnętrznego”. Poza tym wszelką myśl społeczną należy artykułować nie z pozycji zbiorowości, ale właśnie z punktu widzenia jednostki. W ten sposób poezja nowej fali stała się (jak wszelkie kierunki o proweniencji romantycznej) ekspresją indywidualnego doświadczenia historii i przemian społecznych.

Drugim istotnym odkryciem nowej fali jest spostrzeżenie, że zerwanie więzi między poetą a czytelnikiem jest elementem znacznie szerszego procesu społecznego i cywilizacyjnego. Jesteśmy świadkami powstania i rozwoju całego ogromnego zespołu środków dyfuzji społecznej, pozwalających na zuniformizowanie dotąd zróżnicowanej społeczności ludzkiej, pozwalających na

manipulowanie „nieświadomą świadomością”. Staje się to szczególnie ważne dla poety, który zauważa oto, że między nim a odbiorcą staje groźna siła, uniemożliwiająca ludzki kontakt, zakłócająca i deformująca treść tekstu poetyckiego, znosząca prawdę sztuki. Rozerwane zostaje platońskie „twarzą w twarz”, nadawca i odbiorca zostają przekształceni w instrumenty społecznych manipulacji. Szczególnie niebezpieczne jest to zjawisko w sytuacji centralizacji systemów komunikacyjnych. Stąd ogromne zainteresowanie młodej poezji dla środków masowego przekazu, które przecież wytworzyły nowy „język”. „Każdy język — napisał kiedyś Edmund Carpenter — w określony sposób kodyfikuje rzeczywistość i w każdym tkwi jemu właściwa metafizyka”. Ale nowego języka trzeba się nauczyć, nowy język trzeba umieć czytać. I trzeba także umieć czytać „między wierszami”. Niebezpieczeństwa środków masowego przekazu polegają nie na tym, że one jako takie służą zniewalaniu świadomości; takim procesowi sprzyja każdy język, który nie zostanie rozpoznany. Manipulować umysłami za pomocą języka można dotąd, dopóki druga ze stron (a ta właśnie, która jest przedmiotem manipulacji) nie zostanie wtajemniczona w strukturę i „metafizykę” języka, którym do niej mówią. Tutaj właśnie zaczyna się rola poezji (czy w ogóle sztuki), której zadaniem staje się wyrwanie ludzi ze swoistego „analfabetyzmu”, „odfałszowanie świadomości” na drodze analizy wszystkich języków, które służą komunikacji.

To zapewne ma na myśli Stanisław Barańczak, jeden z czołowych poetów nowej fali, kiedy mówi o „poezji, która uczy myśleć”, kiedy pisze szereg artykułów pod wspólnym, a wcale mówiącym tytułem „odbiorca ubezwłasnowolniony” i kiedy ostatecznie postuluje poezję o optyce lingwistycznej, skierowaną na język i sposoby jego użycia. Jakże znamienna jest w tym kontekście prowadzona przez młodą poezję „walka z Gazetą” (hasło „odprasowania języka”), przekątnikiem pożądanym przez rządzących, gotowych (a realizowanych w języku) stereotypów pojęciowych. W tym momencie poetyckie konkretyzacje nowego ruchu lokują się opozycyjnie wobec obowiązującej, optymistycznej i zafałszowanej ideologii i działalności propagandowej.

Ten skrótowy opis nie jest pełną charakterystyką poezji pokolenia 68-70 i domaga się dalszych dookreśleń. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na rzecz znamienną: fakt, iż krytyka literacka (jak zwykle) rozpoznała nowe zjawisko w poezji z kilkuletnim opóźnieniem, spowodował szereg nieporozumień. Twórczość nowej fali nie była, jak się to sugeruje, li-tylko doraźną, bezpośrednią reakcją na wydarzenia polityczne i społeczne końca lat sześćdziesiątych (zwracał na to uwagę swego czasu K. Karasek). Jej diagnoza społeczno-polityczna zrodziła się zanim doszło do Marca i Grudnia. Poezja tego pokolenia niejako wyprzedziła historię. Historia nie zrodziła tej poezji. Poezja sprawdziła się

w historii. Przytoczmy zresztą kilka faktów: to przecież już około 1966 roku debiutują — w prasie — poeci, których nazwiska staną się w cztery lata później znakami rozpoznawczymi nowego pokolenia; w 1968 roku Jarosław Markiewicz po anonimowym i hybrydycznym „Stadionie słonecznym” wydaje ważny dla nowej fali zbiór „Przyszedłem zapytać o własne imię czasu, który wnoszę”; dokładnie w grudniu 1970 roku ukazuje się „Jednym tchem” Barańczaka, tom, który stanowił — jak chce krytyk — „poetyckie pendant do wydarzeń tego miesiąca”. Młoda poezja — istniejąca i dojrzewająca na marginesie oficjalnej kultury — eksplodowała zresztą w Grudniu wraz z młodym teatrem studenckim (pamiętne, grudniowe Łódzkie Spotkania Teatralne).

Wydarzenia marcowe z 1968 i grudniowe 1970 roku przyspieszyły tylko proces społecznego dojrzewania nowego pokolenia, pozwoliły skryształizować się ideowości nowego ruchu, pozwoliły — wreszcie — ujawnić się tej poezji (niestety, nie na długo). Bez wątpienia miały wpływ na jej kształt ostateczny. Trudno nie zauważyć np., że czołowe hasło Marca (o czym pisał Feliks Niedolski we wstępie do zbioru Biereżina „Wam!”*) „PRASA KŁAMIE” odcisnęło swoje piętno na założeniach nurtu lingwistycznego, reprezentowanego w młodej poezji przez Ryszarda Krynickiego i Stanisława Barańczaka. O wpływie Marca i Grudnia piszą pośrednio sami poeci: „Młode pokolenie poetów musiało wychować się samo, bo jego wychowawcy zostali skompromitowani i nie można im było ufać” (Krynicki na IX-ej Kłodzkiej Wiosnie Poetyckiej). „Dziś na początku lat siedemdziesiątych, w świecie wartości w znacznej mierze skompromitowanych lub niewystarczających, w świecie jaki przekazało mi pokolenie ojców i starszych braci, postulat bezwzględności wobec siebie, atak skierowany przeciw postawom, a nie Mechanizmom, spełniającym zawsze rolę drugorzędną, musi być szczególnie bliski mojej świadomości” (Biereżin w wypowiedzi dla miesięcznika *Poezja*). Trzeba tu zaznaczyć, że poczucie „skompromitowania wartości” nie ma nic wspólnego z ogólnocywilizacyjnym „kryzysem wartości”. I Krynickiemu i Biereżinowi chodzi raczej o ten rodzaj postaw i wyborów moralnych, którego fałszywość obnażyła historia polska lat ostatnich.

Na prawach dygresji chciałbym dodać, że właśnie w przytoczonych wyżej przekonaniach tkwi także źródło podstawowego postulatu młodej poezji, którym jest moralny imperatyw mówienia prawdy. „Od tego musi zacząć (poezja — przyp. M.G.). Od nieufności, która oczyści drogę temu, czego wszyscy potrzebujemy. Mam na myśli — to nic nowego, zgoda, ale już niemal zapomnieliśmy, na czym nam powinno zależeć — mam

* Biblioteka *Kultury*, tom 249, 1974, cena F. 12.

na myśli, oczywiście, prawdę” — pisze Stanisław Barańczak. To przeświadczenie znajdzie swoje przedłużenie także w wypowiedziach poetyckich:

*Bądź spokojny Powiedz prawdę
Dopóki jesteś jeszcze w kręgu światła*

— napisze Bierezin,

a Zagajewski uzupełni:

*Odmów podania ręki temu człowiekowi
wyprostuj się osusz tampon języka
wyjdź z tego kokonu rozgarnij te błony
zaczepnij najgłębsze warstwy powietrza
i powoli pamiętając o regułach składni
powiedz prawdę do tego służysz*

Mimo iż w obrębie omawianego tu ruchu poetyckiego nie ma w zasadzie żadnej ogólnie obowiązującej idei artystycznej, jakiegoś wspólnego programu czy wyraźnie skodyfikowanej poetyki, a to co łączy młodych jest bardziej bliskością światopoglądów i postaw niż wspólnotą sensu stricto poetycką, to jednak dałoby się znaleźć jakieś punkty zbieżne, ujednolicejące całe zjawisko (np. warstwa metaforyczna, sposoby konstruowania tekstów itp.) Witold Sułkowski, debiutant roku 1970 (pierwsza publikacja w *Więzi*), zajmuje jednakże w twórczości „nowofalowej” miejsce szczególnie i odrębne, odcinające się wyraźnie od tła pokoleniowego. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że nie uczestniczy on prawie w polemikach wewnątrz — i międzypokoleniowych, nie drukuje programów i manifestów, nie przejawia szczególnej aktywności w życiu młodo-literackim kraju, a swoją obecność zdążył zaznaczyć zaledwie kilkunastoma publikacjami. Od rówieśników różni Sułkowskiego przede wszystkim oryginalna specyfika jego talentu, inne podejście do tworzywa poetyckiego, do poezji w ogóle. (Sułkowski uprawia głównie prozę poetycką, co już zresztą mogłoby wskazywać na jego powinowactwa z Michaux czy z niektórymi dokonaniem Bursy i Herberta; nie miejsce tu jednak na wyszukiwanie Sułkowskiemu poetyckich antenatów).

W czasach powszechnego (także w poezji pokolenia 68-70) autotelizmu czy autotematyzmu zdumiewa w utworach autora „Szkoły Zdobywców” brak refleksji nad poezją. Wynika to zapewne z milcząco przyjętego założenia, że poezja nie wymaga uzasadniania swojego istnienia, tłumaczy się sama przez się, tym, że jest. Poeta w wierszach Sułkowskiego pojawia się zawsze w kontekście ironicznym, tak jak „przyjaciele poeci” w wierszu „Uspokojenie”, jak nie dostrzegający powiększania się „szczeliny w rzeczywistości”, uchwycony w trakcie intensywnej pracy twórczej nad poematem „JA A RESZTA LUDZKOŚCI” poeta z „Nowej Odrodzonej Epoki” (NOE?).

Sułkowski nie chce być poetą i zdecydowanie odrzuca to, co kojarzy mu się z poetyckością, to, co rozpostarte jest „dramatycznie” między ja a resztą. „Ego” Sułkowskiego nie czuje się wyniesione ponad tłum, nie chce być „poetą-Bogiem”, nie wierzy w kreacjonistyczną siłę słowa. Jest jednym z wielu „szarych ja”, skazanych na powszednie doświadczanie swojej codzienności, na „małe konflikty”, na dialektyczny tragizm szafy i pantofli.

Sułkowski rozumie poezję czy w ogóle literaturę w sposób arystotelesowski, jako jeden z środków komunikacji międzyludzkiej. Lakoniczny, „przezroczysty” język tej prozy poetyckiej służy w pierwszym rzędzie porozumieniu, wymianie myśli, dialogowi i uruchomiony jest przede wszystkim w swej funkcji pragmatycznej. Jeśli Sułkowski nie kieruje uwagi na język (w tym sensie jak czynią to lingwiści) to dlatego, że pragnie się poruszać nie w sferze języka, a w sferze świadomości. Sprzeczności świata są bowiem nierozwiązywalne w planie wyrażania, wymagają układu odniesienia, który wykracza znacznie poza obszar systemu językowego. To zdaje się łączyć Sułkowskiego z koncepcją poezji „interwencyjnej”, która została sformułowana na gruncie praktyki poetyckiej krakowskiej grupy „Teraz” (Zagajewski, Kornhauser).

Sułkowski nie chce być poetą może dlatego właśnie, że pragnie być „opowiadaczem”. Wszystkie jego teksty oparte są zasadniczo na schemacie fabularnym, są niejednokrotnie zdialogizowanymi „historiami z życia”. Siłę poetyckiego wyrazu osiągają poprzez mechanizm metaforycznego skrótu, poprzez kondensację myśli realizującą się w znakomitym pointowaniu, zbliżonym do aforystyki. W twórczości Sułkowskiego istnieje zresztą cały czas swoiste napięcie między tym, co prozatorskie, a tym co poetyckie. (Jest to napięcie, które łatwo zauważyć kiedy zestawimy się czysto prozatorską, groteskowo-satyryczną opowieść „Nowa Odrodzona Epoka” z — w pełnym tego słowa znaczeniu — poematem prozą „Ciąg dalszy zawieszony”).

Sytuacja, jakiej doświadcza bohater tych wierszy, jest sytuacją zagrożenia. Znamienne dla większości pomieszczonych w tym tomie tekstów jest to, że rozgrywają się one w przestrzeni zamkniętej, albo ograniczonej („Sama kulistość ziemi czyni marsz w przód bezsensownym” — pisze Sułkowski w „Odejściu”). Niemożliwość odejścia czy też niemożliwość wyjścia jest wystarczającą motywacją do semantycznego zrównania świata i domu (zob. „Mój dom waszym domem”). Świat i dom (dom, który kojarzyć się zwykł z ciepłem, bezpieczeństwem, pewnością) stają się w poezji Sułkowskiego więzieniem. Tragizm sytuacji potęgują dodatkowe przedmioty, „świat rzeczy”, który z jednej strony sprzyja, ale z drugiej — zagraża. Cała groteskowość twórczości Sułkowskiego zasadza się na zdynamizowaniu codzienności, na nadaniu jej wymiarów totalnych i apokaliptycznych. Personifikacja, aktywizacja przedmiotów codziennego użytku,

przełamanie odwiecznego milczenia rzeczy, ich ingerencja w świat ludzki (a nawet sprowadzanie ludzi do rzeczy — „ludzie-kule” w wierszu „Bilard”) służą nie tyle krytyce konsumpcyjnego społeczeństwa, jak ma to miejsce w manifestacjach literatury zachodniej, ile ujawnieniu silnej presji rzeczywistości, która przytłacza ludzkie „ja” i reifikuje; człowiek z podmiotu staje się przedmiotem świata. Jak kula bilardowa poddany prawom fizyki, jak uczniowie „Szkoły Zdobywców” tresowany metodą „odruchów warunkowych” w opartych na karności i dyscyplinie zasadach i normach społecznych. Wyzwalający się z reguł społecznych (nie tracący nadziei na „zmianę regulaminu”) bohater wierszy Sułkowskiego próbuje ocalić w sobie człowieka, człowieka poddanego ciśnieniom różnych sił i porządków, których nie jest często świadomy, zgubionego w agresywnym świecie rzeczy:

*„Wyrzygałem awangardę walkę klas ludzkość
człowiek zatrzymał się w gardle”*

(Odejscie)

Zastanawiać musi także to, że w świecie przedstawionym wierszy-próz Sułkowskiego nie ma miejsca na miłość, przyjaźń, uczucia i namiętności. Bohaterowie Sułkowskiego istnieją jakby obok siebie, poza wszelkimi więzami uczuciowymi, są anonimowi, są *everymen*’ami; łączy ich tylko obecność w pewnym „tu i teraz”, zderzają się ze sobą, aby potem odejść „wzdłuż prostych wyznaczonych kierunkami ulic”. Można to oczywiście zinterpretować jako podjęcie klasycznego tematu literatury dwudziestowiecznej: problem odosobnienia i samotności jednostki w świecie. Ale przecież Sułkowski w „Zdarzeniu” ironizuje:

„Mogłoby to oznaczać Samotnośćjednostkiwspołeczeństwie albo Niemożliwośćdotarciadodrugiegoczłowieka czy Wielkąmetaforęlosuludzkiego.

Ale to była prawdziwa kałuża i ten dureń rzeczywiście się topił”.

A zatem abstrakcyjnym sytuacjom egzystencjalnym przeciwstawia Sułkowski konkret; stereotypowym, a zatem nic nie znaczącym, pustostównym werbalizacjom tych sytuacji — prawdę faktu.

Samotność, która jest udziałem bohaterów wierszy Sułkowskiego jest namacalną i konkretną samotnością ludzi żyjących w określonym świecie, w rzeczywistości, którą konstytuują takie elementy jak podejrzliwość i podsłuch, śledztwo i przesłuchanie, w którym oficer śledczy wyrywa „ostatnią tajemnicę” („Ciąg dalszy zawieszony”), w którym człowiek odarty zostaje nie tylko „ze złudzeń”, ale przede wszystkim z prywatności, intymności, z wolności wreszcie. Wprzężony w społeczno-polityczny kierat norm i obowiązków, publiczny, statystyczny i bezosobowy, przestacza się w „człowieka-kulę”, tryb w ogromnej maszynarii systemu.

W tym momencie Sułkowski ironiczny i sarkastyczny, demaskatorski, drwiący czy też tylko żartobliwy, odsłania nagle swoją twarz moralisty, bowiem — jak powiada Tomasz Mann — „gdy tylko krytycyzm sztuki zwróci się na zewnątrz, gdy tylko stanie się też moralny, artysta staje się społecznym moralistą”.

Marek GRUDA

AUTOPORTRET

W ciągu dwudziestu ośmiu lat życia osiągnąłem 58 kilogramów wagi. Nie jest to wiele, zważywszy na ulepszone ostatnio metody tuczenia. Nie udało mi się też uzyskać rekordowych wyników w żadnej innej dziedzinie, choć w niektórych (powstrzymywanie drżenia rąk, powstrzymywanie się od głosu) udało mi się dojść do przyzwoitych rezultatów.

W ciągu dwudziestu ośmiu lat studiowałem w wielu zakładach naukowo-karnych, wśród nich najpoważniejszym jest SITO (Społeczny Instytut Tresury Ogólnej).

Zgodziłem się na współpracę z rzeczywistością. Jedni nazywają to męstwem, drudzy dezercją. W świetle przysłowia, którego nauczyła mnie dialektyka: „nie ma tego dobrego co by na złe nie wyszło”, opinie te pozbawione są wszelkiego znaczenia.

W ciągu dwudziestu ośmiu lat brałem udział w odsłonięciu i zasłonięciu. Byłem współtwórcą rezolucji, rewolucji, reakcji i rekreacji. Podjąłem nieudane próby odzwyczajania się od papierosów, odkłamania, samobójstwa.

Nauczyłem się tańczyć, reagować na dowcipy, zapominać.

Nauczyłem się pamiętać.

Z pozycji dwudziestu ośmiu lat i pięćdziesięciu ośmiu kilo patrzę na kilkaset wieków gry w ludzkość. Nie jest to gra najweselsza, lecz wciąż nie tracę nadziei na zmianę regulaminu.

UROCZYSTOŚĆ

I ten rzeźnik z przeciwka i ten chudy, co cały dzień na poczcie stempluje ludzkie wzruszenia i namiętności, także młody, nieogolony i obdarty ideowiec i tłusta burdelmama, odkurzona i wyprasowana orkiestra strażacka; cały odświętny tłum znaczących i nieznaczących zebrał się na rynku w oczekiwaniu na uroczystość palenia.

To tylko na pozór wygląda tak ładnie. Ale co z tym mitręgi, co urywania głowy — wiedzą tylko urzędnicy magistratu. Bo to i żmudna robota selekcjonerów (przecież nie wszystkie książki się pali) i kłopoty z przyjęciem różnych korporacji i zrzeszeń i wydatki (chorągwie i gorąca zupa dla tłumu) i obawa, że od stosu może zająć się ratusz.

A efekt wątpliwy. Większość zebranych i tak nie pojmie doniosłości zdarzenia. Zjedzą zupę, posłuchają orkiestry, a spodoba im się co najwyżej płomień, który przypomni im skautowską młodość.

Dlatego uroczystość palenia odbędzie się w tym roku ostatni raz. Postanowiono nakłonić autorów, aby palili książki jeszcze przed napisaniem.

ZEBRALIŚMY SIĘ

Zebraliśmy się, kilku mężczyzn, aby zjeść, wypić i porozmawiać jak się należy. Jedzenie i picie postępowały zadawalająco, rozmowa właściwie jeszcze się nie zaczęła, aż kiedy narosły na talerzach ptasie i rybne szkielety, pestki owoców, najmłodszy z nas co siedział dotąd ponury i rozdrażniony (coraz to mylił przyprawę i zaciskał palce na obrusie) zerwał się gwałtownie z rumorem i krzyknął: „nie...ja nie...” i raptem grzmotnął o podłogę i pozostał tak leżąc rozkrzyżowany.

Chwila ciszy nastąpiła jakby po nietakcie, ale zaraz wstał drugi, spojrzał na leżącego pobłaźliwie, do nas uśmiechnął się z życzliwością i rzekł: „ja natomiast zawsze tak...” i osunął się pod stół niemal bezgłośnie i niezauważalnie.

Podniósł się tedy staruszek kościsty, czcigodny i sucho, deklaratywnie, jakby Oświadczenie składał, zaczął: „jeśli o mnie chodzi to zawsze twierdziłem, że ani tak, ani nie...” tu zadem w podłogę wyrznął, nogi zadarł i tak wpół zgięty znieruchomiał.

Milczeliśmy dosyć długo bo nowa świadomość narastała w nas i wreszcie, kiedy dłużej już milczeć było nie podobna spurpurowiał grubas i wrzasnął: „ja z tym nie mam nic...” — klapnął na brzuch jak rzucona z dużej wysokości żaba.

Trzech nas zostało i obserwowaliśmy się pytająco i przynaglająco zarazem, aż oczy moje i sąsiada spoczęły złączone w milczącej koalicji na siedzącym naprzeciw. Ten walczył jeszcze chwilę w końcu głowę spuścił i niedostłyszalnie prawie wyjąkał: „trzeba by... trzeba by...” głowa jego sennie opadła na stół, potem znikła.

Wpatrywałem się w mego wroga. On wpatrywał się we mnie.

Zasady postępowania we mnie chciał wyczytać, ja w nim. Chwyciłem nóż długi do chleba i wbiłem mu go po rękojeść w brzuch. Padając nakrył się obrusem jak kirem a na nim jak odznaczenia błyszcząły kieliszki i sztucce.

Zadzwoniłem na służbę i gestem ręki nakazałem sprzątnąć.

K O S M O S

Jackowi Bierezinowi

Jeszcze przed moim urodzeniem przemieniono moje lasy w nadęte dostojeństwo szaf, w pokraczność krzeseł, w nikczemną intymność biurek. Odgrodzonemu od nieba sufitem — nawet miłość nie objawia się gwiazdzistą nocą w zapachu traw, lecz w miękkiej oporności betów wśród wirującego pierza i kurzu.

Zmagazynowany gdzieś między dachem a piwnicą rozmyślam o nieskończoności.

Nieskończoności biurek.

Nieskończoności krzeseł.

Nieskończoności szaf.

M E T A F I Z Y K A

Ciało przyłapane na śmierci budzi uczucie niesmaku, jak wszystkie przedmioty niewykończone i byle jakie. Dopiero trup wymyty, ogolony, odziany odświętnie, przygotowany do wywózki staje się naturalnym, krzepiącym elementem rzeczywistości.

Pozornie. Bo jednak cała metafizyka świata stworzona po to, by rozerwać w waszej świadomości czarną ramkę nekrologu, cofa się przed tym nieruchomym, upudrowanym facetem w lakierkach. Towarzyszące jej poczucie ładu i bezpieczeństwa rozplywa się w okolicy ściśniętej krawatem, pęczniejącej już szyi.

Nie martwcie się. Wszystko wróci do normy, kiedy nieboszczyk przemieniony w kopczyk z tabliczką przestanie was przedrzeżniać.

BIURO RZECZY ZNALEZIONYCH

Przedmioty błahe, nadpsute, skażone obcowaniem z właścicielem, niewolniczo oczekujące. Tu, wśród kapeluszy, teczek i kluczy, człowiek, który utracił pamięć. W swoim nowym życiu jest Bogiem. Układa w najdowolniejsze figury nieoporne, oswojone rzeczy. Stwarza naciśnięciem guzika światło i ciemność. Tylko nieobliczalne mole stwarzają nieco kłopotu, lecz można kłaśnięciem w dłonie przerwać ich niezrozumiały lot.

Człowiek ten, kiedy zostanie o d n a l e z i o n y, ujrzy przestrzeń nad sufitem, kapelusze na głowach ludzi, pozna zastosowanie kluczy. Zrobi wtedy wszystko, by wrócić tutaj.

★
★ ★

Pewien członek ZKWR (Związek Kolekcjonerów Wszystkich Rzeczy) osłepiony któregoś ranka pięknem wschodzącego słońca, wywalił całą kolekcję na śmietnik. Że nie mógł wyrzucić mieszkania, więc wyrzucił siebie z niego i sypiał odtąd nagi na trawnikach miejskich. Nawet go pochwalili. „Antykolekcjoner” — pisali o nim w prasie.

Nie miał też sznurka, żeby się powiesić, bo wyrzucił z głupoty chyba.

DO REDAKTORA NACZELNEGO

Wizytując śmietniki znowu natknąłem się na niedogryzioną kość. Tym razem była to ręka. Nadmieniam, że jak dotąd znajdowałem przeważnie kości stóp osobników płci obojga. Sedno zagadnienia tkwi wszelako nie w rodzaju znalezisk. Śmiem twierdzić, że prasa zbyt mało uwagi poświęca faktom, które stają się coraz powszechniejsze. Podobno eksperci nie mogą ustalić, czy zjawisko ma charakter kulturowy, czy kulinarny. A tymczasem niektórzy amatorzy pożywiają się bezwstydnie w parkach i na skwerach, zaśmiecając przy okazji te obiekty.

Uważam, że zmasowana akcja środków masowego przekazu, nakazu i zakazu mogłaby ograniczyć rozprzestrzenianie się tej wątpliwej jakości mody. Dałbym sobie za to uciąć rękę, gdyby nie to, że obie są od dawna własnością komornika.

Z D A R Z E N I E

Zgęszczenie ludzi nad kałużą, gdzie jeden się topi. Drugi usiłuje podać mu kij. Robi to nieudolnie, albo kij jest zbyt krótki, bo palce tonącego chwytają tylko błotnistą maź.

Mogłoby to oznaczać Samotność jednostki w społeczeństwie albo Niemożliwość dotarcia do drugiego człowieka czy Wielką metaforę losu ludzkiego.

Ale to była p r a w d z i w a kałuża i ten dureń rzeczywiście się topił.

NIEDOJRZAŁOŚĆ

Jeden to bardzo chciał do gazet. Kronikę kosmiczną żeby chociaż. Zaniósł im, przeczytali, powiedzieli: „Niedojrzałość karczować trzeba by. Za mało rozwagi w podejmowaniu”.

Zastosował się, przyniósł, powiedzieli: „To takie ni tak, ni siak, za dużo rozwagi w podejmowaniu”.

Więc zawziął się bardzo i napisał od nowa, po swojemu „Piekło” Dantego i „Kapitał” Marksa. I czytał to z balkonu przez tubę, żeby było daleko słychać.

Ale rozwścieczyli się na to i teraz szturmują mu do drzwi złorzecząc.

A on zastawiony szafą modli się, aby zanim obedną go ze skóry, obdarli go ze złudzeń.

KOLEJKA (pouczenie)

Tylko dobrze pilnuj miejsca w kolejce. Zagapisz się na wędrującą po ścianie mrówkę i znów jesteś na końcu. W tej grze nie wolno być nieuwważnym.

Nie opędzaj się od much.

Nie ocieraj potu.

Nie zawiązuj sznurowadeł, nie podciągaj spodni.

Możesz co najwyżej poprawić ostrożnie krawat.

Najbardziej strzeż się tych, którzy cię niby przyjaźnie zagadują, aby cię chyłkiem wyprzedzić. Najlepiej nie odpowiadać na zaczepki. Szczególnie natrętnych zbywaj automatycznymi „być może”, „to zależy”, „ewentualnie”.

Pamiętaj. Okienko jest jedno a was wielu i wciąż przybywają nowi. Nie spuszczaaj go ani na moment z oka. Wówczas prawdopodobnie je osiągniesz.

Wolno ci stać przed NIM tak długo, aż nie padnie hasło „następny”. Wtedy prędko biegnij na koniec.

W A N N A

Po milionach lat wróciłem do praźródła życia — wody. Leżę w wannie długiej na metr osiemdziesiąt, dobrze nagrzanej. Sól kąpielowa koi sumienie nadwątłone życiem na lądzie. Szoruję odciski na stopach — dowody rzeczowe dróg przebytych samotnie i pod eskortą, marszów w przyszłość i planowych odwrotów. Reszta ciała odmacza się z nagromadzonych doświadczeń bez specjalnego wysiłku z mojej strony. Mogę poświęcić się myśleniu o ekonomii politycznej i etyce ciała zanurzonego.

W głębiach życia wewnętrznego żyje się miękko jak w ciepłej wodzie, która czasem zamyka się nad głową, aby nazajutrz w kronice wypadków napisano: „Zmarł w czasie kontemplacji”.

KARTOFLE

Życie pozagrobowe kartofli odbywa się w piwnicy. Wypuszczają one kruche, przeźroczyściezielone kiełki — anteny skierowane w stronę zasmolonego okienka. Mądra gospodyni odrywa je, jeszcze mądrzejsza zasłania szczelnie okno, gdyż od wspinania się do światła kartofle w grobie chudną.

Gospodarz wraca z pracy o czwartej. Pan Jezus Dobry Pasterz wpatruje się w sufit, naprzeciwko tapczana zaczął się telewizor.

— Co na obiad?

— Kartofle.

Za ścianą gospodarza jest inna ściana, za nią jeszcze inna i świadomość nieskończoności ściennej sprawia, że rozplątuje on sznurowadła spokojnie i poważnie.

Tylko kości tych co nie wierzyli w nienaruszalność ścian walając się po piwnicy zawadzają gospodyni. Warto by sprzątnąć te szczątki, bo kto wie czy nie one właśnie mają wpływ na niedozwolone życie kartofli.

USPOKOJENIE

Moi przyjaciele poeci są czujni. Co noc rozstawiają na warcie swoje sumienia. Mnie jednego pilnują co najmniej trzy, a czwarte przechadza się za drzwiami. Nie wiem czy to ja jestem taki ważny, czy armia sumień tak liczna. Staram się uwolnić od ich opieki przez upicie się. Wtedy szepczą: „Zamiast żłopać z butelki pij ze źródeł prawdy”. Dobrze sobie. Dawno je wychlali, dla mnie zostawili trochę błota na dnie. Mógłbym co prawda spróbować je precedzić, ale czy to ważne czym się kto upija? Więc, żeby zniechęcić swych strażników do reszty, zaczynam żreć kartofle. Po chamsku. Na surowo i w łupinach. Sumienia niepewnie zbijają się w gromadkę. Naradzają się, wreszcie wykrzykują chóralnie i z oburzeniem: „To jest programowe nieuczestnictwo w uczestniczeniu”. Po tej kontestacji usypiają. Wtedy mogę robić co mi się podoba. To znaczy nic.

NOWA ODRODZONA EPOKA

Annie

I

Sprawdzam rzeczywistość. Pantofle stoją nieruchomo, jednak lewy jakby głębiej schował się pod łóżko, prawy natomiast odważnie wywędrował na środek. Jest mocno przydeptany, nie wiadomo po co pcha się na świecznik. Ów świecznik (otrzymany kiedyś za zasługi wobec rzeczywistości) stoi na podłodze pewnie i dostojnie jak sam ład i porządek. Obok niego szeleści gazeta sprzed dwóch dni. Szpary w oknie powiększyły się od wczoraj, dlatego gazeta wyszeptuje teraz poruszana wiatrem przedwczorajsze wiadomości. Rury pod sufitem śpiewają basem pieśni kontestacyjne, za ścianą stuka maszyna. Sąsiad poeta (dlaczego tak wczesnie wstał, może wcale się nie kładł) przepisuje na czysto poemat: JA A RESZTA LUDZKOŚCI.

Uspokojony co do gruntu rzeczywistości (podłoga skrzypi umiarkowanie) wkładam skarpetki. Dziury powiększyły się od wczoraj, pokrzepia to moją wiarę w postęp, który dokonuje się we wszystkich dziedzinach jednocześnie, bo i pęknięcie na suficie wydłużyło się. Sięgam po gazetę, dościgam rzeczywistość przedwczorajszą. Zamrożenie cen żywności. Czyżby sztuczne hamowanie postępu? Odrzucam tę myśl, biegnę myć zęby, potykam się o świecznik.

Błysk bólu i świadomości. Rzeczywistość pęka w szwach, chwytam ją kurczowo za kolano rozorane świecznikiem, krew przecieka przez palce. Odkręcam kran, krew miesza się z wodą a to wszystko już w przecieku totalnym, bo szczeliny w rzeczywistości powiększają się i piwnice chyba już zalane. Więc czyżby już koniec? A może po tym wszystkim nastąpi Nowa

Odrodzona Epoka? Sąsiad nic nie pojmuje bo maszyna za ścianą tłucze nadal rytmicznie: ja a reszta ludzkości, ja a reszta ludzkości, ja aresztant ludzkości. Rury natomiast przestały kontestować, a może już popękały, przyłączyły się do potopu, który zagarnął partery domów, etykę, politykę, nie sięgając jednak świadomości, gdyż radio i telewizja nadawały jak zwykle komentarz międzynarodowy w tonie ubolewania, sąsiad stukał na maszynie, nikt nie pojmował nadejścia Nowej Odrodzonej Epoki, gdy tymczasem woda zalewała już pierwsze piętro. Mam jeszcze trzy piętra czasu.

II

Więc dawno oczekiwane nadeszło. Rzeczywistość pękała w szwach. Pozostaje kwestią drugorzędną czy pękała ze śmiechu, z pychy czy z bólu. Nie czas był na zastanawianie się, kiedy przez szpary coraz obficiejszy sączył się deszcz. Krople rozwodnionej farby bębniąc w stół utrudniały mi przygotowania do pracy Noego. Oszalały szczur (zwierzęta odczuwają wszystko prościej) ugryzł mnie w brzuch. Czasu miałem jeszcze dosyć nim woda osiągnie czwarte piętro. Kuchnia gazowa odmówiła posłuszeństwa, co uniemożliwiło ugotowanie płatków owsianych na drogę, jak również popełnienie samobójstwa.

Wziąłem się do pracy. Rozmyślając nad ocaleniem wartości ponadczasowych gorączkowo upychałem w balii kobietę a także dostępne mi gatunki zwierząt — zdziczałe kundły, koty, myszy, szczury, karaluchy, pchły — wszystkiego po dwie sztuki. Kobieta (przyszła do mnie pożyczyć parasol) stawiała opór, lecz jej płaczliwą argumentację, że chce zostać tam gdzie groby jej przodków i potomków przerwałem sprawnie kneblem i sznurem, wiedząc, że czas na argumenty słowne przyjdzie, kiedy już wody opadną. Więcej kłopotów było ze zwierzętami. To wyslizgiwały mi się z rąk, to znów wpychały się do balii egzemplarze ponadplanowe. Solidnie mnie przy tym pogryzły. Jednak uporałem się i z nimi a nawet dołączyłem parę much co do których nie byłem pewny czy są różnej płci.

Woda dochodziła pod trzecie piętro. Rzeczywistość już traciła oddech. Zajodynowałem skałeczenia (muszę o sobie dbać, bo ocalam w sobie najwyższe wartości a nawet jeśli nie najwyższe, to przecież innych już nie będzie), wrzuciłem do balii worek kartofli, kilka fundamentalnych arcydzieł literatury i pamiątkowy świecznik. Zabieranie ze sobą pantofli wydało mi się małoduszne (zwłaszcza, że były one mocno już przydeptane).

Wypłynęliśmy przez okno. Chmury zasłoniły szczelnie niebo (a może niebo już nie istniało), ciemność była zupełna. Deszcz siąpił cały czas, wybierałem wodę patelnią i intensywnie przepowiadałem sobie całą nagromadzoną w ciągu życia wiedzę, by nic nie uronić dla swych przyszłych pokoleń. Praca była wyczerpująca, więc rozwiązałem kobietę. Milczała uparcie, lecz czerpała wodę rękami. Wszystko w balii było przemoczone, co najfatalniej odbiło się na arcydziełach. Nogi marzły mi coraz bardziej i gorzko żałowałem pozostawionych pantofli, których strata wydała mi się niepowetowaną.

Nie wiem jak długo tak płynęliśmy, bo zapadłem w odrętwienie. Leżałem na dnie balii, w głowie huczały mi maksymy moralne i twierdzenia matematyczne, elementy nauk społecznych i nazwiska wybitnych. Chyba się przy tym rzucałem, bo kobieta kładła mi na czoło zimne kompresy.

Obudziło mnie słońce, jaśniejące już dość wysoko na niebieściutkim niebie. Dookoła rozpościerał się ocean, nad powierzchnią którego sterczały gdzieś iglice reprezentacyjnych budowli. Jak okiem sięgnąć unosiła się nad wodami armada balii, wanien, pontonów a nawet kajaków. Zewsząd warczały psy, miauczały koty, śpiewały kanarki. Ktoś bezsensownie umieścił na rufie kredensu akwarium z rybkami. Zobaczyłem sąsiada — siedział okrakiem na biurku i pisał na maszynie poemat: Nowa Odrodzona Epoka. Obok nas wesoło przefrunęła motorówka straży wodnej.

Pojąłem nagle jak bardzo w balii jest niewygodnie, więc najpierw wyrzuciłem owady, których się brzydę. Kobieta uśmiechnęła się do mnie znad świecznika, który czyściła skrajem spódnicy. Na horyzoncie pojawił się ogromny stalowy krążownik. Głośniki umieszczone na jego masztach zaczęły nadawać audycję: „Komentarz do sytuacji bieżącej”.

★ ★

Jak archeolog, górnik lub umarły schodzę w kolejne warstwy gleby. Pokłady grobów na kartoflach. Pokłady kartofli na grobach. Mijam jedną po drugiej cywilizacje grobowo-kartoflane.

W ten krajobraz wewnętrzny wwiercają się szyby moich poprzedników i następców, kapłanów, tajniaków i poetów, wszystkich chcących wiedzieć CO JEST NA SAMYM SPODZIE.

A może to tak cała ziemia na wylot? Kopać dalej? Wyjść? Zacząć w innym miejscu?

BŁĄD HISTORII

Tezeusz Ateńczyk na drodze do tronu oszukał wszystkich, którzy go kochali i pozostawił za sobą wieniec trupów. Jego rządy były pasmem gwałtów, których nie udało się zatuszować nawet jego hagiografom. W końcu zwariował i zginął nędznie na wygnaniu, pchnięty nożem spóźnionego zamachowca.

Byłby to dość ograny kawałek z dziejów ludzkości, gdyby nie to, że Tezeusz był piękny i mężny, jakby był pastuchem bydła a nie królem.

SZKOŁA ZDOBYWCÓW

Jackowi Kuronowi

W naszej Szkole Zdobywców wyklada wysłużony sierżant: najważniejszą częścią wioślarza są plecy. Wróć. Rany na plecach. Istotą napędu jest bicz. Składa się on ze świstu i z bólu. Szepczemy między sobą: „Pies składa się z psa i łańcucha” albo „najważniejszą częścią lisa jest kołnierz”. Chichoczemy przedrzeźniając go, aż poci się i czerwienieje ten nieufny ćwierćinteligent.

O świcie zziębnięci wysłuchujemy niezmiennej oracji siwiutkiego kapelana:

Tym miłosierdzie tylko dane, co zabijają.

Ci wiedzieć mogą czym jest prawda, co mądrze kłamią.

Ten tylko zna pragnienie ludów, kto nasycony.

Ten czynić może sprawiedliwość, kto mocarz między nędznymi. Pstrykamy klęczących przed nami po uszach, a ci odwracając się klną po cichu.

Dyktuje pułkownik-filozof: „Chociaż każdy fakt ma niezliczoną ilość prawdziwych interpretacji, tylko jedna z nich może być w konkretnej sytuacji użyteczną...” Niektórzy wsparci na rękach śpią udając zasłuchanie.

W nocy na pryzkach gramy w przemycone karty, rozmawiamy o dziwkach, których jeszcze nie poznaliśmy, płaczą pod kocami obici kapusie i lizusy. Czasem przychodzi przekupny sierżant i opowiada uciśne, rubaszne historyjki. Dyrektor nigdy nie może nas zaskoczyć, gdy idzie brzęczy z daleka orderami.

W wilgotnych, zimnych sypialniach mieszkamy piękne mło-

dzieńcze sny. Chorągwie, defilady w ujarzmionych miastach, uśmiechy kobiet. Nigdy i nikomu się do tych snów nie przyznajemy.

Mijają lata w dusznych klasach, w stertach zakurzonych zeszytów, wśród niezmiennych dziwactw belfrów i dowcipów uczniów.

Tylko coraz głębiej wnika w nas wiedza, tylko coraz jest ciaśniej od nowych roczników.

CIĄG DALSZY ZAWIESZONY

I

Co zgubiłem? Przewracam kieszenie, wybebeszam szafy, szuflady. Szperam pod łóżkiem. Jeszcze raz kieszenie. Kroki na schodach. Wybiegam. — Panie co zgubiłem? Mówi: He, he. Nowicjusz. Kładź się do łóżka, weź aspirynę, zapomnij. Ja grzebię po kieszeniach. On współczuje: — No, było nie było, znajdź cokolwiek i pomyśl, że to właśnie to... BRACIE. Zbiegam po schodach.

Domy falujące jak segmenty gąsienicy.

Niebo zgęstniało (patrz sytuacja izobaryczna w dniu 20.IX.1971). Podchodzi do mnie ktoś, mówi: — Zawsze szukam czegoś o tej porze. Zgubiłem to kiedyś niepostrzeżenie. Nie wiem, co i kiedy. Znajdę.

II

Dlaczego skradasz się za mną i przede mną z pałką, nożem, chlebem i słowem?

Wciąż widzę twój cień to wydłużany, to skracany światłem latarni, gdy noc rozmazuje bryły planowej zabudowy. Czasem spotykamy się twarzą w twarz i wtedy pytasz: — Dlaczego skradasz się za mną i przede mną z pałką, nożem, chlebem i słowem?

III

Przesłuchujący właśnie wydarł ze mnie ostatnią tajemnicę. Wpina ją do albumu. Moja ostatnia tajemnica przebita szpilką wygląda jak przybrudzona szmatka wśród innych podobnych szmatek. On zgaduje moje myśli, bo pyta: — Poznałby pan swoją? Zamyka album i wiem, że moja ostatnia tajemnica nie wyfrunie z niego jak ogromny barwny motyl poruszany słońcem. Mówi: — Na dzisiaj dosyć. Jutro dowiem się od pana więcej.

IV

Tłum wylał się na ulicę. Tłoczyli się, aby zobaczyć coś, czego tak nagłego pojawienia się nie oczekiwali. A kiedy zobaczyli, stwierdzili: — TO NIE TO. Rozchodzili się chyłkiem, pojedynczo, milcząc.

Spóźniony wpadam na niewielki, pustoszejący placyk. Gromadki innych, też spóźnionych. Tego już nie ma.

V

Było to 21. IX. Niewidomy potrącony przez samochód odzyskał wzrok. Kiedy minęły pierwsze zachwyty, spytano go: Jak się panu widzi? Powiedział: — nie widzę czegoś, co widziałem dotąd. Ale to przecież jest. Uroczystą akademię odwołano.

VI

Nawiedza mnie w godzinach szukania sąsiad spotykany na schodach. I kiedy rozmowa staje się poufna, tak mówi: — Oddam ci teraz moją ostatnią tajemnicę pielęgowaną specjalnie na tę okazję. Pokazuję mu album, zakurzony, nadzarty przez mole. Milknie.

VII

Miasto powszedniało celowością porannego ruchu pieszych i pojazdów. Jedynym niecodziennym o tej porze roku zdarzeniem było pojawienie się motyli. Pokazały się tylko gdzieniegdzie

i były to zwykłe niepozorne bielinki, a jednak zwróciły powszechną uwagę. Wkrótce na ulicach zaroilo się od kolekcjonerów z siatkami. Do południa zakłócenie w naturze zlikwidowano.

VIII

Znów cię widzę z ugrzecznonym kapeluszem w dłoniach, uśmiechem i słowem. Uderzam w twarz. Stoisz dalej z uśmiechem, słowem, kapeluszem. Tylko ręka ci krwawi.

IX

To czego szukasz? — pyta przesłuchujący podkreślając familiarność rozmowy rozluźnieniem krawata. To nie da się wyrazić wewnątrz typowego schematu pytań i odpowiedzi, wypowiadam zdanie uprzednio przygotowane.

Nie będziemy zmieniać dla pana schematów — mówi i podciąga krawat. Ponadto przypominam o zakazie wypowiadania zdań uprzednio przygotowanych. To też proszę przemyśleć.

X

Na scenę wywleczono nagiego, skępowanego człowieka. Pochyleni nad nim zadawali mu wciąż to samo pytanie. On milczał. Tak prawdziwy był jego opór, że publiczność głośno przyłączyła się do indagacji. Wreszcie widzowie wdarli się na scenę, aby wydrzeć mu odpowiedź z gardła, podczas gdy inni w popłochu opuszczali teatr. Pamięć o tym nieudanym eksperymencie utonęła w masowości rozmów, niejasności komentarzy, zakamarkach tajnych kancelarii.

XI

Trzęsienie ziemi w naszych warunkach geograficznych nie przybiera rozmiarów kataklizmu. To, które mało miejsce 23.IX. objawiło się w skali krajowej spadnięciem ze ścian kilku obrazów. Towarzyszący mu podmuch powietrza zerwał z płotów kilka obwieszceń. Było południe. Wysiadałem właśnie z dziwiątki, kiedy w nieznacznym drgnieniu ziemi i powietrza wydało

mi się, że ZNALAZŁEM. Wrażenie było jednak zbyt krótkie, by mogło utrwalić się w ledwie dotkniętych nim zmysłach. Myślę, że wszyscy odczuli to samo, bo stali przez chwilę nieruchomo i milcząco. Zaraz jednak twarze ożyły zwykłym napięciem poszukiwań i ruszyliśmy wszyscy wzdłuż prostych wyznaczonych kierunkami ulic.

POSTĘP

Racje żywności były skromne lecz wystarczające, więc gość mój zastanawiał się głośno nad racjami istnienia. Tak długo i mozolnie zestawiał cytaty i uogólniał, że wreszcie prosto i po ludzku mówi: „Należy usuwać usterki naszej współczesności, a także tworzyć usterki, aby zapewnić racje istnienia pokoleniom przyszłym”.

Tu mikrofon, co dotąd spokojnie słuchał pod podłogą nie wytrzymał i wrzasnął: A POSTĘP TO GDZIE?

Tośmy zmienili temat, bo po co mówić, kiedy ON te sprawy zna lepiej.

BILARD

Januszowi M.

Od rana do wieczora grywaliśmy w bilard. Gra ta polega na praktycznym zastosowaniu praw fizyki. Możliwa jest dzięki temu, że kule nie stosują się do nich całkowicie i przez swe nieprzewidziane zachowania wprowadzają na stół niepewność i ryzyko.

Grywaliśmy w czterech całymi dniami mało co mówiąc a odchodziliśmy od gry tylko na posiłki, których dostarczano nam regularnie. Coraz precyzyjniej uderzały nasze kije, coraz bardziej wdrażaliśmy nimi kule do praw Newtona. Ciesząc się z dokładnych uderzeń, baliśmy się jednocześnie momentu, gdy kule staną się nam w pełni posłuszne.

Którejś nocy jeden z nas skazany na bilard dożywotnio przeciął sobie żyły. Wkrótce wznowiliśmy grę.

My trzech ludzie, cztery kule, miliardy kul, ludzi, ludzi — kul w niezliczonych kombinacjach.

STONOGA

Stonoga lezie po krawędzi szafy do góry — spada. Ale zaczyna drugi raz, wpęła na tę samą wysokość, znów spada.

Trzeci i czwarty raz to samo, aż przypomina mi to coś z Najgłębszych Odwiecznych Dramatów Ludzkości, więc studiuję gruntownie 947 książek (podczas czego stonoga łązi) i znajduję tam wszystko o tragedii tego nieudanego wspinacza.

Jednak nikt nie wpadł na to, żeby porąbać szafę.

DIALOG BEZ POINTY

Co zrobiłeś dla swego kraju u progu Nowej Ulepszonej Konstytucji? — pyta szafa i wywala na mnie tonę płóciennych wnętrzności.

A co kraj zrobił dla mnie? — odbijam chytrze pytanie. Lampa w niemym oburzeniu gaśnie i tylko telewizor oświetla pole bitwy.

— Plany wytopu surówki zostały przekroczone — mówi sympatyczny debil i znika. Pojawia się surówka, która zalewa mi gardło.

To mnie zwalnia z udziału w dyskusji, kopię więc kilka razy szafę w brzuch i zamykam jej gębę na klucz.

— Walki na Timorze zaostrzają się! — obwieszcza triumfalnie Debil, po czym wydaje cichy brzęk i ciemnieje.

Aby wskrzesić lampę, będę musiał doczekać świtu.

ELEGIA NA ŚMIERĆ SZAFY

Moja szafa — ostatni bastion rewolucji, mocno rozparta na nogach odpiera atak ściany. Skrzypi przy tym z wysiłku a czasem otwiera drzwi ukazując mi wszystkie swoje żale. Wyfruwa z niej wtedy na mój pokój-niepokój piąta kolumna moli. Podpieram szafę stołkiem, niech jeszcze trochę wytrzyma, tymczasem napiszę manifest, który zjedna nam być może nowych sojuszników. Wprawdzie nie wierzę już w możliwość odparcia agresji ściany, ale raźniej byłoby przegrywać w gromadzie. Lecz mole siadają na mnie, przeszkadzają. Mącą klarowność zdań i wiem już, że manifest mój nikogo nie przekona. Tymczasem szafa trzeszczy a ściana aż pęka z natężenia. Przed ostateczną próbą sił uciekam. Zamykam drzwi pokoju na klucz. Słyszę jeszcze jak zdradzona szafa wali się na podłogę. Ale to już wszystko poza mną. Siedzę w kuchni. Ostrzę nóż do rozprawy z chlebem powszednim. Niech będzie mi to policzone jako wkład w powszechny wyścig zbrojeń.

KARALUCH ALBO ŚMIERĆ POEMATU

Pisałem pierwsze zdanie poematu o wiosnie (refleksja humanistyczna na tle budzącej się do życia przyrody) kiedy do pokoju wleciał granat. Wprawdzie nie wybuchnął, lecz samym ciężarem zabił na podłodze karalucha. Przykro pomyśleć, że życie uratował mi błąd produkcji.

Ostrożnie wziąłem w palce zabitego owada i wyrzuciłem przez wybite okno na ulicę. W ślad za nim puściłem bezwartościowy granat. Rozległ się huk i jęki rannych. Przez wybitą szybę wdzierał się do pokoju mróz. Był środek zimy.

Zatykając okno tekturą pomyślałem, że może nie warto pisać poematów na zapas.

PRZEOBRAŻENIE W TRYBIE BEZWARUNKOWYM

Tramwaj służy do komunikacji, a nie do komunikowania czegokolwiek. Nie bacząc na to pewien pasażer wyraził niezadowolone z poziomu muzyki rozrywkowej. Oburzony ogół chwycił go pod ramiona i zaprowadził do dentysty.

Po drodze mógł rozmyślać o wadach swych racji prywatnych, lecz zamiast tego zapierał się nogami. Zdarł przy tym buty, skarpetki i zdarłby stopy, lecz na szczęście gabinet był blisko.

Na fotelu również zachowywał się nierozsądnie. Opowiadał swój życiorys i poglądy na sztukę, podczas gdy pielęgniarz wyjaławiał szczypce.

Skończyło się bardzo dobrze. Dentysta kilkoma szarpnięciami usunął źródło niezadowolenia. W płucach byłego pasażera zagrał Festiwal Pieśni Zaangażowanej.

Wkrótce sam został gwiazdorem. Głębia jego interpretacji jest nieporównana. W tramwajach nie bywa, choć mógłby się tam pokazać bez obawy. Ząb, który mu wtedy wyrwano był ostatnim.

40° C
(Poemat społeczno-polityczny)

Zdzisiowi Jaskule

Do południa nic się nie zdarzyło.
Upał sprzyjał rolnictwu.
Zderzenie łodźiarza z tramwajem nastąpiło o godzinie 12⁰⁰.
Sektor uspołeczniony wyszedł z mniejszym szwankiem,
choć już w pierwszej fazie wydarzenia
— od pisku hamulców do przyjazdu milicji —
ilość pasażerów pomnożona przez czas spóźnienia
dawała znaczną liczbę strat w złotychkach.
Jednocześnie studenci rozdawali ulotki
z adresami sklepów, w których można dostać.
Jeden zapatrzył się na lekarza, zajętego stwierdzeniem zgonu
i dostał mandat ponieważ okazał się współnikiem gapowicza,
którego obok spisywał kontroler MPK.
Tymczasem motorniczy uporczywie dmuchał
w dziurawy balonik, którym go poczęstował
starszy sierżant milicji obywatelskiej.
Sytuacja stawała się niezręczna,
zwłaszcza iż zewsząd słychać było głosy,
że w sklepach nic nie można dostać.
Rosła kolejka tramwajów, wysypał się tłum spóźnionych,
nieliczni kontrolerzy ustawiali spieszonych pasażerów
według tras i wagonów, lecz pewna ilość nieuczciwych osobników
przemykała się z grupy do grupy w celu oszukania skarbu państwa.
Powodowało to zamęt w głowach kontrolerów,

tu i ówdzie ktoś padał rażony udarem słonecznym.
Najkarniejsza była grupa przedszkolaków,
która tramwajem numer 9 wybrała się na zwiedzanie
Izby Pamięci Narodowej.
Niemniej sytuacja stawała się coraz bardziej napięta,
straty rosły, a lody płynęły chodnikiem.
Na szczęście pojawiła się ekipa specjalna
i natychmiast rozdała szturmówki i transparenty,
skutecznie przekształcając spóźnienie w manifestację.
Znienacka motorniczy z trzaskiem pękł z wysiłku
dając dobitny wyraz postawie zaangażowanej.
W tłumie manifestantów wybuchł ogromny entuzjazm,
do którego dołączył się bez wahania
starszy sierżant milicji obywatelskiej.
Przedszkolacy zaintonowali „Zawsze niech będzie słońce”,
reszta zgromadzonych podchwyciła śpiew
i Pochód ruszył.
Pasażerowie i kontrolerzy,
studenci i przedszkolacy,
lekarz pogotowia i starszy sierżant MO.
Po drodze dołączali:
klienci sklepów, w których można dostać
personel sklepów, w których nic nie można dostać,
rolnicy, którym sprzyjał upał.
Manifestacja potężniejąc, z płomiennym śpiewem na ustach
maszerowała prosto w słoneczne jutro.

NOWE CZASY IDĄ

Peszyło mnie szczególnie to, że zwracał się do mnie w liczbie mnogiej. I z szumnym epitetem WY HUMANISCI. Na nic moje zapewnienia, że z tzw. ludzkością łączy mnie wyłącznie podobieństwo zewnętrzne.

Zwykłe WASZE wykręty — mówił — uciekacie od najważniejszych problemów współczesności (a nie wyglądał wcale jak demon cybernetyczny, raczej jak świeżo wypieczona bułeczka). Uciekacie — ciągnął — a tu loty kosmiczne i zagrożenie atomowe i teoria informacji i trzeci świat...

Marnie jakoś i niepotrzebnie się poczułem, bo patrzę na skarpetki co się suszą na kaloryferze i na zaciek na suficie, no to gdzie mi do tych lotów. Albo to ZAGROŻENIE, jak może w każdej chwili ktoś wejść i zarąbać mnie siekierą. A i pierwszy świat nie wiem jaki jest, więc co dopiero trzeci. Więc wstyd i smutek, a tu jak na złość i płakać nie ma w co, bo micha stara, zardzewiała i dziurawa.

Uciekłem, ale niezdarnie dosyć, bo sznurowadła się rozwiązały i ciągnęły się za mną kilometrami, taka nić Ariadny na odwrót, znacząca moją ucieczkę od współczesności.

OCHRONA

Zanieczyszczenie środowiska naturalnego w moim mieszkaniu doszło do niebywałych rozmiarów. Muchy wyzdychały, pelargonie uschły. Sąsiedzi byli tak zaniepokojeni zjawiskiem, że wkrótce pojawili się u mnie inspektorzy od spraw Ochrony Środowiska.

Funkcjonariusze ci stali się mymi stałymi gośćmi. Tropiąc źródła stanu rzeczy przeszukiwali szafy, szuflady, prześwietlili mi mózg. „Wszystko jest na najlepszej drodze” — mówili uśmiechając się uprzejmie — „wpuściliśmy parę myszy w celu biologicznej aktywizacji pomieszczeń”.

Zainstalowali liczne urządzenia pomiarowe jak termometr, mikrofon itp. jednak myszy zdechły. Inspektorzy mieli mi to za złe, nie mówiąc już o opinii publicznej, która oficjalnie mnie potępiała.

Na szczęście w tym czasie wymarły wszystkie lasy w kraju, więc moje skromne przewinienia na polu zanieczyszczania poszły w zapomnienie. Wkrótce sam stałem się aktywnym rzecznikiem Ochrony. Wobec niemożliwości restauracji tzw. żywej przyrody skupiłem swe wysiłki na kluczowym obecnie problemie sikania do basenów kąpielowych.

MÓJ DOM WASZYM DOMEM

Paulowi Nowickiemu

Przytwierdzony śrubami do łóżka — odpoczywam. Dzień poprzedni z trudem oddzielał się od następnego. Mole tańczyły szybko i rytmicznie w strumieniu światła. Nienadążająca dialektyka wyodrębniła wieczne doskonalenie technologii samobójstw. Stonoga wypisująca wiersze na mojej twarzy nie tak przeszkadzała jak mysz wewnątrz czaszki, która myślała tak: „CZY JESTEM W PUŁAPCE CZY PUŁAPKA JEST WE MNIE”.

Którędy ona tam weszła? Dawno rozstrzelałem gipsowe popiersia przywódców. Na pył. Mam go pełne płuca. Moje wierne mole pożarły wszystkie książki i rękopisy. Żywych też rozstrzeliwałem według potrzeby. Siebie przytwierdziłem do łóżka. Którędy ona tam weszła?

Śruby bołą tylko w zetknięciu z ciałem. Są mocne, trwałe, elastyczne. Nie zardzewieją mi z wysiłku, gdy się przeciągnę. Słuchajcie trzasku moich stawów i bólu moich śrub.

To ja wymyśliłem i wybudowałem dla was dom z wielopiętrowych łóżek, śrub i nadziei. Dzień poprzedni z trudem oddziela się tu od następnego. Konstrukcja mocna, trwała, elastyczna. Mieszkańcy bardzo sobie chwalą tę oszczędność środków wyrazu. Dialektyka święci tu triumfy. Ściany są niebieskie, a okna słoneczne.

Nikogo nie zmuszam, żeby zamieszkał tutaj. Kto gardzi błękitem moich ścian, kto nie lubi śrub mocnych, trwałych i elastycznych, niech wybierze rodzaj śmierci według własnego

pomysłu. I na to wam pozwalam. Mole też wam oddam.
A nawet stonogę.

Sobie zostawię tylko mój pył, moją mysz i troskę o was
BRACIA.

L O S

Kiedy przyjdą do mnie wykonawcy kapturowych wyroków LOSu (Ligi Ochrony Społeczeństwa) z rozmazanymi twarzami zastępującymi maski, rozsiądą się wygodnie i spytają: CO ROBIŁEŚ DOTĄD? odpowiem: hodowałem mole, wybaczcie chyba to skromne dziwactwo, zwłaszcza, że karmiłem je przecież własnym paltem. To prawda, że chciałem kiedyś przemówić, lecz język nie służy i jakoś tak zeszło. I pozwólcie jeszcze podlać kwiaty, schną już od miesięcy.

Oni popatrzą po sobie milcząco, a ja zamknę oczy w oczekiwaniu na cios nożem, lub znak tajemny bym otworzył je już jako członek BRACTWA.

ODEJŚCIE

Siostrze

Sama kulistość ziemi czyni marsz w przód bezsensownym —
tak pożegnał mnie strażnik otwierając bramę
Szedłem wzdłuż muru wciąż zwalniając krok
nowa religia ukryta w słowach strażnika
pętała ruchy
Jednak szedłem w przód a może tylko przed siebie
żarliwie wmawiając sobie że to tylko kulistość ziemi
czyni odejście bezcelowym
Bolały oczy odwykłe od horyzontu
powietrze przegryzało płuca
Klęknąłem pod murem —
wyrzygałem awangardę walkę klas ludzkość
Człowiek zatrzymał się w gardle
Sprawdziłem mur
nie ustępował pod palcem
ale wiedziałem już że wrócę tu z dynamitem
Strzepnąłem kurz z kolan przesłuchałem serce
na okoliczność bicia monotonna kłamało
Zaskrzypiała brama Za mną szedł następny

KLĘCZĄC POD MUREM

Myślałem, że rozmawiają, ale powtarzali fragmenty dawno zapamiętanych modlitw. W tym przedlekcyjnym rytuale uczniów strach współzawodniczy z gorliwością.

Myślałem, że się modlą, a oni byli tylko rozstrzeliwani na klęcząco. Usta zaplombowane gipsem, oczy uczone szpar między cegłami, by opóźnić padanie.

Myślałem: są rozstrzeliwani, lecz oni zwyczajnie przymierzali swoje klęczenie do muru. Może nawet myśleli przy tym o murze i o klęczeniu lecz niekoniecznie, przecież bawili się tak od dzieciństwa.

Ten niedokończony jeszcze obraz, młodej polskiej poezji poświęcam.

SPIS RZECZY

PRZEDMOWA Marka Grudy	7
<i>Autoportret</i>	15
<i>Uroczystość</i>	16
<i>Zebraliśmy się</i>	17
<i>K o s m o s</i>	19
<i>Metafizyka</i>	20
<i>Biuro rzeczy znalezionych</i>	21
★ ★	22
<i>Do redaktora naczelnego</i>	23
<i>Zdarzenie</i>	24
<i>Niedojrzałość</i>	25
<i>Kolejka (pouczenie)</i>	26
<i>W a n n a</i>	27
<i>Kartofle</i>	28
<i>Uspokojenie</i>	29
<i>Nowa odrodzona epoka</i>	30
★ ★	33
<i>Błąd historii</i>	34
<i>Szkoła zdobywców</i>	35
	57

<i>Ciąg dalszy zawieszony</i>	37
<i>Postęp</i>	41
<i>Bilard</i>	42
<i>Stonoga</i>	43
<i>Dialog bez pointy</i>	44
<i>Elegia na śmierć szafy</i>	45
<i>Karaluch albo śmierć poematu</i>	46
<i>Przeobrażenie w trybie bezwarunkowym</i>	47
<i>40° C (Poemat społeczno-polityczny)</i>	48
<i>Nowe czasy idą</i>	50
<i>Ochrona</i>	51
<i>Mój dom waszym domem</i>	52
<i>Los</i>	54
<i>Odejście</i>	55
<i>Kłęcząc pod murem</i>	56

(Nas stronie 6-ej nota biograficzna Autora)

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 14 AVRIL 1976
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)**

Dépôt légal : 2^e trim. 1976

Imprimé en France.

Cena F 15.00